ŁAD BOŻY

TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

Rok 8 — Nr 14 (317) Włocławek, 13 kwiecień 1952 r. Cena 50 gr.

Rezurekcja

„ Jam jest zmartwychwstanie i życie"

Opustoszało kalwaryjskie wzgórze! Głucha noc jęła rozpierać czarne skrzydła swoje nad niewdzięcznym miastem, co krzyżuje proroki...

Księżyc blady oświetlił ponure miejsce kaźni Chrystusowej... w powietrzu czuć było niedawny lęk i trwogę. Miasto spało. Tylko skąpany w zieleni cyprysów i palm ogród Józefa z Arymatei czuwał...

To , piłatowi żołnierze strzegli grobu Umęczonego Pana. Brylantowe gwiazdy gasły na wysokim niebie, zwiastując pierwsze świty...

Ziemię spowiły jeszcze nocne mroki. Po krwawym Wielkim Piątku nadchodzi powoli szabat paschalny. Mroczny, jeszcze i smutny, ale już nadzieją opromieniony. W poranek wielkanocny nadzieja ustępuje radosnej rzeczywistości... Brzmi potężne Alleluja! Pogrzebany brutalną siłą — Chrystus zmartwychwstaje. „Wy się smucić będziecie, powiada Chrystus, ale smutek wasz w radość się obróci" (Jan XIV, 20) Zmartwychwstał, jak powiedział.

Zmartwychwstał i nie zawiódł tych, co uwierzyli Weń i poszli za ostatnim słowem świata, ale nigdy ostatnim słowem Boga i chrześcijanina. Przełamał niemoc mogilną... wszedł potężny Boskim Majestatem. Podniósł posępny krzyż, który się rozelśnił i zabrzmiał... stanął cichy, promienny, Boski. Tak, przede wszystkim Boski! Naturę ludzką przyjął Chrystus prócz grzechu. Ale człowieczeństwo Chrystusowe podobne jest do rozpiętego nad głowami naszymi błękitnego widnokręgu. Zdaje się nam, że dotyka on i to z bliska ziemi. Wystarczy tylko chyba wejść na wzgórze, za które się chowa, już dotkniem go rękoma. Ale ledwośmy się wspięli, a już horyzont od nas gdzieś za gwiazdy się oddalił. Tak jest z człowieczeństwem Jezusa. Ciało Jego, to jakby ciało nasze. Ale jakie inne od naszego ma ono własności. Spowite w całunie grobu już zdaje się być skazanym na rozkład, jak każda ofiara śmierci. A oto nagle wstaje z grobu, ożywione tak, że nawet niewierny Tomasz dotykając ciała Zbawcy zawołał: „Tyś jest mój Pan, Tyś jest mój Bóg!"

Krew jego spływa po drzewie krzyża, że napozór nie różni się od krwi



tych, co wespół z Nim są ukrzyżowani, a jednak krew Swoją nazwie Jezus okupem zbawienia za świat, a więc jest krwią czystą, niepokalaną, bo tylko taka krew może ważyć jako okup.

Zmartwychwstał jako Ten, któremu niebo i ziemia są posłuszne. Mrok grobowy zajaśniał barw tęczą... wionęła najpromienistsza radość wiosennym podmuchem. Ziemię zalała światłość tryumfalna „W Zmartwychwstaniu Tym, Chryste, niebo i ziemia cieszą się — „Alleluja" — śpiewa dziś Kościół, a w echu tej pieśni poprzez dzwony rezurekcyjne dociera do dusz dziwną mocą przekonania, olbrzymią potęgą swej treści!

Wesoły nam dziś dzień nastał

Wielkanoc jest arcyświętem chrześcijaństwa. Dzień zmartwychwstania stał się Dniem Pańskim, pierwszym dniem tygodnia, dniem oficjalnej służby Bożej. Cóż oznacza Wielkanoc? — Dzień wyjścia z grobu... Śmierć Chrystusa jest jedyną w swoim rodzaju, jest istotą śmierci...

Tragedia rozpoczyna się zdradą sumienia. Sumienie jest pojmane, związane, biczowane... aby być sądzone. Boga stawia się poniżej Barabasza... I tak dramat się rozgrywa... sumienie jest ukrzyżowane... czasem tylko owo milczenie przerywają ciemności, które się nagromadziły poprzez protesty coraz słabsze, aż sumienie umiera, idzie do grobu... złowrogo milczy. Od tej pory nie istnieje nadzieja, chyba w cudzie Zmartwychwstania. W duszy musi się powtórzyć cud Zmartwychwstania!!!

Przechodzi życie nie zużyte... nie wypełnione Bogiem i tym wszystkim, co do Boga prowadzi!

Zmartwychwstały Chrystus głosi poczucie nieskończonej wartości, nieskończonej rzeczywistości każdej duszy, każdej jednostki.

Cała istota apostołów żyła, oddychała cudem zmartwychwstania, temu cudowi podporządkowali oni swe myśli i pragnienia. Uzbrojeni w moc Chrystusa czuli, że muszą dać świadectwo tym siłom, które odtąd miały promieniować na ludzkość, jako siły zmartwychwstania i żywota wiecznego. Szczęśliwi więc jesteście gdy Wielkanoc przeżywacie. Może nie zdajecie sobie sprawy, może nie uświadamiacie sobie tego, że bogatsi opuścicie dzisiaj tę świątynię — wzmocniliście się. „Jam jest Zmartwychwstanie i życie" powiada o sobie Jezus. Dwie idee: **Zmartwychwstanie i życie** łączy Chrystus nazawsze jako dwie wielkie rzeczywistości. Boża twórcza moc spoiła je nierozerwalnie. Zmartwychwstanie dusza do wyższego życia i wyższe życie jako wynik zmartwychwstania ducha. A u podnóża tych dwóch rzeczywistości s p o c z y w a wielki fakt dziejowy — o Bożym pięknie i Bożej mocy — Zmartwychwstanie Chrystusa Pana, Boga-Człowieka.

Dla wierzącego katolika Chrystusowe słowo „Jam jest Zmartwychwstanie i życie" łączy się i kojarzy się z pojęciem życia nadprzyrodzonego duszy ludzkiej na ziemi i szczęścia wiekuistego tejże po śmierci. Dlatego to u wrót cmentarza na progu krainy zmarłych, gdzie blady smutek czarny zdaje się otulać milczące groby, gdzie serce ludzkie poczyna bić ciszej, tajemniczo nieomal, w człowieku odżywają się wszystkie głębsze struny serca i ducha — ponad mogiły i mogiłki, nad skamieniałe pomniki cmentarne nad przebrzmiałe życie ziemskie

EWANGELIA

na Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego

(św. Marek 16, 1—7)

Onego czasu: Maria Magdalena i Maria Jakubowa i Salome nakupiły wonności, aby pójść i namaścić Jezusa. I bardzo rano w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A mówiły do siebie: Któż nam odsunie kamień ode drzwi grobowca? I spojrzawszy, ujrzały kamień odsunięty. Był bowiem bardzo wielki.

A wszedłszy do grobowca, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą, i zdumiały się. Ale on rzekł im: Nie lękajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz Go tu, oto miejsce gdzie Go złożono. Ale idźcie, powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi, że was uprzedza do Galilei: tam Go ujrzycie, jako wam powiedział.

tych odpoczywających w głębi piasku i gliny, nad ból i żałość nieraz rozpacz kołatającą w serce, nad kir żałoby wybucha i płynie z katolickiej piersi wielka przepotężna, świtem wyzłocona, tętniąca życiem iście królewska z Boskich ust Chrystusowych pochodząca pieśń: „Ego sum resurrectio et vita" — Jam jest zmartwychwstanie i życie...

Jam jest zmartwychwstanie i życie. W pieśni rezurekcyjnej płynie i gore... słońce, wiekuiste słońce. On Chrystus; Zmartwychwstanie i Życie.

Życzymy sobie miłych, Bożych spokojnych, świąt! Życzymy sobie byśmy w myśl słów św. Pawła „poznali moc Zmartwychwstania Jego i uczestnictwo cierpień Jego" (Fil. 3, 10) ... abyśmy jak św. Piotr uważali się za odrodzonych przez Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. (1, 3).

Niech w duszach waszych pogłębi, wysubtelni się wizerunek Chrystusa — u wielu On zamazany, zakurzony, mgłą pokryty, niewidomy...

Przeżyjcie po katolicku Wielkanoc, wprowadzajcie w życie to co jest treścią świętości, doskonałości — miłość Pana Jezusa, miłość serdeczną, głęboką, ofiarną.

Jam jest zmartwychwstanie i życie!!

Amen!

Kalisz **Ks. Dr B. K.**

Czy nie przeszkadzam?

Dziś mi się bardzo spieszyło; rano miałem napisać terminowe podanie, załatwić pilne sprawy związane z administracją domu, a po południu planowałem dwudniowy wyjazd. Zaraz o godzinie ósmej zabrałem się do pisania, ale nic z tego nie wyszło; zdążyłem wyjąć kawałek papieru, otwieram kałamarz a tu: puk! puk! do drzwi. Sądziłem początkowo, że ktoś z elektrowni o zapłatę za prąd. Ale gdzie tam. Otwierają się drzwi i „wtacza się" niski i opasły Włodzio, stary kolega. Powiedział „Pochwalonego" i zaczął się zaraz tłomaczyć:

— Widzisz, Stasieczku, wpadłem na minutkę, aby ciebie zobaczyć.

— Na minutkę — pomyślałem — to jeszcze zdążę na południe wszystkie zaplanowane sprawy załatwić. A co cię tak rano sprowadza?

— Przyjechałem autobusem i dopiero, wyobraź sobie, za dwie godziny mam pociąg. Jadę do urzędu wojewódzkiego. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Może nie masz czasu?

— Wszystkie moje plany przekreślił — pomyślałem sobie. Nic rano nie będę mógł zrobić. Powiedziałem jednak co innego: ależ Włodeczku, dla ciebie muszę mieć czas. Gość wziął te słowa jako zachętę, poczęstował mnie papierosem ,założył nogę na nogę i zaczęła się pogawędka na dobre...

Minęła godzina, a Włodzio, jak siedzi ,tak siedzi. Opowiadał swoje ostatnie przeżycia i kłopoty, a ja mu przytakiwałem, udając zaciekawienie. Włodzio, od czasu do czasu, wtrącał do rozmowy pytanie, na które nie czekał odpowiedzi: „Pewnie ci, Staszku, przeszkadzam?". „Jeśli nie masz czasu, to mów, bo chyba wiesz, że nie lubię nikomu w pracy przeszkadzać". A ja nieborak nie miałem odwagi powiedzieć, co wtedy myślałem. Zamknąłem kałamarz z atramentem ,schowałem papier do szuflady i „bawiłem gościa". „Gość w dom, Bóg w dom", uczono mnie od małości. „Robiłem dobrą minę".

— O której masz pociąg? — delikatnie do rozmowy naszej wtrąciłem zapytanie.

— O dziesiątej dwadzieścia.

— To już nie zdążysz!

— Co ty powiesz?

— No tak.

— W takim razie pojadę następnym pociągiem — dał mi po tym napiętym dialogu odpowiedź końcową. Na co lakonicznie odrzekłem: Nie masz innego wyjścia.

Włodek tym się nie zmartwił (ja więcej). Nie podniósł się nawet z krzesła, wyciągnął już chyba piątego papierosa i zapowiedział swoje odejście.

— Już idę, bo ci „zarwałem" zbyt wiele czasu, a ty przecież masz tyle zajęć na swojej głowie.

Zacząłem się denerwować. Nie na gościa, ale na siebie, że rano, kiedy umysł najlepszy do pracy, ja marnuje czas na niepotrzebne gadanie. Gość mój dosiedział do godziny 10.45. Na pożegnanie zapytał jeszcze czy mi nie przeszkadzał i poszedł szybko na dworzec.

Przyszło południe a ja głupiego nawet podania nie napisałem.

Po wyjściu Włodka zacząłem dumać... Żeby to tylko ten, skąd inąd bardzo porządny Włodzio, ale przecież codziennie prawie ktoś przyjdzie i zamiast jędrnie załatwiać sprawę, zamienić parę słów i „jechać" dalej, to taki sobie gada i gada i jeszcze pyta, czy nie przeszkadza. Prawda, że gospodarz ma uszanować gościa, ale i gość powinien uszanować gospodarza.

Jeśli gospodarz nie może powiedzieć: „Nie mam czasu i płyń sobie pan z wiatrem!" to i gościowi nie wolno zadawać bezdennie głupich pytań: „czy nie zabieram panu czasu?". Gościnność zamyka gospodarzowi usta i nie może on wyrzec słów niegościnnych. Dlatego gość nie powinien zważać na to co mówi gospodarz ,lecz tylko na to, co myśli i czuje. I po bardzo krótkim czasie swojej wizyty, czy załatwieniu sprawy ,bez zapowiedzi: „już muszę iść", wstać, podać rękę i „zabierać manatki". A dopiero tylko wtedy zostać, gdy gospodarz prosi. I to nie byle jak, lecz gdy bardzo serdecznie i kilkakrotnie prosi. Bo powiedzieć lakonicznie, „niech pan jeszcze posiedzi to musi on zawsze, nawet wtedy, kiedy w duchu myśli po co ten ramol tu jeszcze zawraca mi głowę".

...Dlaczego — pytam sam siebie — ludzie wyjątkowo inteligentni, jako goście są często wybitnie tępi, niespostrzegawczy, a nawet zupełnie ślepi?

...„Gość w dom, Bóg w dom". Śliczne polskie przysłowie. Tylko, że ja Stach Rózga je inaczej rozumiem (nie zabraniam nikomu zgadzać się ze mną). Jeżeli gość jest w domu, to nie znaczy, że Bóg jest w domu, tylko znaczy, że trzeba się tak wtedy zachować, jakby Bóg był naprawdę w domu. Nie zawsze Bóg w dom gdy gość w domu bo gość, który zabiera całe godziny, nie jest nawet posłanym przez Boga. Bóg nie każe przeszkadzać w pracy. Bóg nie każe robić przykrości swoją osobą, tam gdzie nie jest się mile widzianym i za długo bawić nawet tam, gdzie nas bardzo mile przyjmują. I cukierki się przejedzą.

...Co teraz zrobić? — myślę sobie... Już wiem! Umieszczę w mieszkaniu napisy. Na jednej ścianie: „Stracony czas nie wraca" na drugiej przeciwnej: „Gość w dom, Bóg w dom". Pod pierwszym napisem postawię zwykły twardy stolek. Pod drugim miękki, wygodny fotel. Gdy przyjdzie ktoś do mnie posadzę go wprawdzie na twardym stołku, ale osłodzę mu pobyt napisem: „Gość w dom, Bóg w dom", który on sam łatwo na przeciwległej ścianie zobaczy. Gdy się zbyt długo zasiedzi, powiem: „miły mój gościu przesiądź się na lepsze i wygodniejsze miejsce po drugiej stronie". (Spodziewam się, że napis dla niego przeznaczony sam zobaczy i nie będzie go dwa razy czytał).

Stach Rózga

ALLELUJA!

WESOŁEGO ALLELUJA!
Echem wieków światu brzmi!...
Skrzy się słońcem — w słońcu buja —
Ogniem szczęścia w duszy drży...
Łuną Wiary w brzask Miłości
Eucharystia światu lśni!...
Glob za mały w swej wielkości
Oddać chwałę Boskiej Krwi.

Alleluja jak w zadumie,
Leci pyłkiem w niebios próg.
Lśni pokoju w serc poszumie
Ewangelii jasność dróg!
Leć radości! w świat miłośnie.
Uśmiech słonka nieś jasnego
I Najdroższym życz radośnie
Alleluja Wesołego!

H.

PISANKI

(Z podań ludowych)

Zara z ranka, ledwo słonko tyci z za gór wyjrzało, Maria Magdalena chybcikiem, jak ino mogła, pospieszyła do jaskini, gdzie to Jezusa umęczonego złożyli. Pod chustkę schowała wonności, żeby to nikt nie widział, bo chciała namaścić jeszcze Chrystusa. Poprosi żołnierzyków, to psecie nie odmówią kobiecie. Co tam im skodzi, ze zmarlego zobacy. Cosik zawdy pokóra. Tak se namyślała, jak im to tam powie, że wnet znalazła się u otworu kędy się do środka slo.

Patsy, a tu ani i cienia po wojakach nie ma. Rozgląda się, ale gdzie tam nie ma ich. Już ucieszyła się, gdy wtemik cosik jej tam sepnęło: a moze zrobili Panu jaką wstrętność i Go gdzie dalej wzieni. Zajzała do grobu, lec ze ciemno było to i ledwo co zocyła. Psysła blizej, a tu jeno sama płachta. Pseciera ocy, moze jej tak tylko sie widzi, lec Pana nie moze zobacyć. Usiadła se nieboga na kamieniu, co to podle nóg lezał i popłakiwać zacyna, ze i łzów nie zlicyć jak kapały. Nic nawet na ocy nie widziała, bo boleść patseć pseskadzała.

Juz tak długo siedziała ciągiem in powtazając, ze Pana jej zabrali, gdy cosik wtem do niej psemówiło: „Nie płakaj Magdzia, nie płakaj, bo i cegoz bedzies płakała, dyć Pan sam wstajał i posedł sobie zonvu zywy".

Maria psetarła ocy i zobacyła takiego wielachnego anioła, a tak jasnego ze nijak patseć było. I znowu płakać zaceła jak uslysała ze Pan sam zywy wstajał, lec wnet ocknęła się i doma pobiegła wszyćkim po drodze godając ze Pan Chrystus wstajał. Psed domem spotkała św. Piotra i Pawła jak zmartwione byli i innych uczniów i zara wziena ich do siebie zeby ugościć. Oni tez się uciesyli i z wesela do niej wdepnęli. Św. Magda posła do alkieza zeby dać im do pocęstunku jajec, co tam byli schowane i patsy, a tu wsyściuchne, kaj jedno jajco, kazde inacej ocernione. Zara wziena te dziwności i posła pokazać je apostołom. Oni patsą na jajca i wzieni je do ręki, a tu cosik w skorupce zacyna stukać i maciupki ptasek jeden i drugi zeń wychodzą i zara frujnęły i tak pieknie śpiewały, ze ach! A św. Piotr zara powiedział, ze to Pan Jezus cudy zrobił na znak, ze psez jego śmierć ludziska będą wiecnie zyli.

Ofiary na K. U. L.

Zgodnie z decyzją Najdostojniejszego Episkopatu pozwiętą jeszcze w jesieni 1951 r. doroczna zbiórka na tacę w świątyniach na potrzeby Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego została przeniesiona z Zielonych Świąt na drugi dzień Wielkanocy.

CIEKAWY CZŁOWIEK

Człowiek ten, współczujący wszelkiej nędzy ludzkiej i zwierzęcej żył samotnie, widując tylko kilku zaufanych przyjaciół, oraz ubogą ludność okoliczną. Nazywał się Axel Munthe. Pochodził ze starej szwedzkiej rodziny i przez długie lata był nadwornym lekarzem króla i królowej szwedzkiej. Pomimo długiego przebywania we Włoszech nie zatracił swej północnej sztywności i powściągliwości. Był miły i uprzejmy kiedy chciał, lecz nie była to uprzejmość wrodzona i często bywał małomówny i prawie opryskliwy. Wypływało to z przyzwyczajenia do rozkazywania i posłuchu, lecz z pod tej powłoki przebijała wielka dobroć. Swój wpływ na ludzi zawdzięczał wielkiemu opanowaniu siebie. Miłował piękno, ale pogardzał wygodami, które rozleniwiają człowieka, obawiając się ich ujemnego wpływu na wolę, umysł i ciało.



W procesji rezurekcyjnej

Axel Munthe prowadził żywot na wzór pustelnika. Stół miał bardzo skromny. Jako jarosz z przekonania, mięsa wogóle nie jadał. Na jego posiłek składały się owoce, makaron i jarzyny. Niektórym swoim klijentom jak opisuje w pamiętniku — dawał następującą radę: „przejedzenie — za dużo ciast i słodyczy w dzień, za obfite kolacje. Prawdopodobnie była to najbardziej trafna diagnoza, jakie wówczas stawiałem, ale nie doznawała uznania".

Ze swoimi kolegami miał pewne trudności we współżyciu. Gdy ci brali często wygórowane honoraria, on nie lubił pieniędzy. „Umiejętność robienia ze wszystkiego pieniędzy — powiada — jest zdolnością specjalną o bardzo wątpliwej wartości moralnej". Kiedy koledzy lekarze zapraszają go, aby przystąpił do stowarzyszenia lekarzy i przedyskutował wspólnie sprawę nie zmieniania poniżej 20 franków najniższego honorarium, dr Axel Munthe odpowiedział: „że nie widzi korzyści z należenia do Stowarzyszenia ani dla siebie ani dla innych, ale gotów jednak jest przedyskutować kwestię honorarium, oczywiście maksymalnego, nigdy zaś minimalnego". Zachęcał do składania ofiar na przytułek, prowadzony przez Siostry Ubogich. „Nie zapominajcie wkładać drobnej części waszych oszczędności do skarbonki litościwych sióstr, wystarczy choćby grosz jeden.

To, co innym radził w stosunku do biednych, sam też praktykował. Codziennie nakrywano u niego mały stolik, przy którym mała, głucha i głupkowata staruszka po swojej ciężkiej pracy zjadała pełną dymiącą misę zupy.

Axel Munthe był wielkim przyjacielem ptaków. Bardzo go tedy bolało, gdy musiał patrzeć na okrutne sposoby łowienia przelatujących ptaków przez wyspę Capri, gdzie wtedy mieszkał. Chwytano ptaki w sieci, w których na wabia umieszczano oślepłe przepiórki, z tego powodu bezustannie automatycznie krzyczące. Oślepiano je rozpaloną igłą, a operacja była tak trudna, że setki ptasząt ginęło, nim oślepiono jedno. Schwytane żywe przepiórki pakowano do ciasnych skrzynek i bez pożywienia i wody wysyłano do wykwintnych restauracji, albo sprzedawano na ulicach, zwłaszcza koło Wielkanocy, kiedy czyniąc zadość dawnej tradycji ludność kupowała je, celem wypuszczenia w kościele w czasie nabożeństwa. Doktór bolejąc nad tym wykupywał ptaki od chłopców, ukradkiem wybijał szyby w kościołach, by ptakom ułatwić ucieczkę i robił starania, jakby to uwolnić ptaki na Capri od takiego okrutnego znęcania się. Największa rzeź miała miejsce na górze Barbarossa. Axel Munthe chciał ją koniecznie od właścicieli wykupić. Ale tamten nie chciał się zgodzić na sprzedaż. I kiedy ów właściciel zachorował ciężko, miłośnik ptaków nie chciał iść do chorego, odsyłał go do innych lekarzy, a potem powiedział, że pod tym warunkiem uda się do chorego gdy ten przysięgnie przed krzyżem, że sprzeda górę. W nocy dysponowano chorego na śmierć, a o świcie proboszcz zjawił się u Munthego z wiadomością o przyjęciu przez chorego warunku sprzedania góry. Po wizycie lekarskiej, podczas której trzeba było stosować punkcję, chory wyzdrowiał, a góra zgodnie z umową przeszła na własność doktora. Ptaki uwolniły się od męczarni. Psom nie

PĘDZLEM I DŁUTEM

Znalazł się na półkach księgarskich dawno zapowiadany album zatytułowany: „Wit Stwosz, Ołtarz Krakowski". Ten przebogato ilustrowny tom, ozdobiono dwudziestoma barwnymi tablicami o naturalnych stwoszowskich kolorach oraz stukilkudziesięcioma zdjęciami, robionymi przez artystę fotografa Stanisława Kolowcę. Jedne i drugie podziwiają dziś obywatele radzieccy na wystawie w Leningradzie w sali Biblioteki Akademii Sztuki, gdzie w reprodukcjach pokazano cały ołtarz i jego szczegóły.



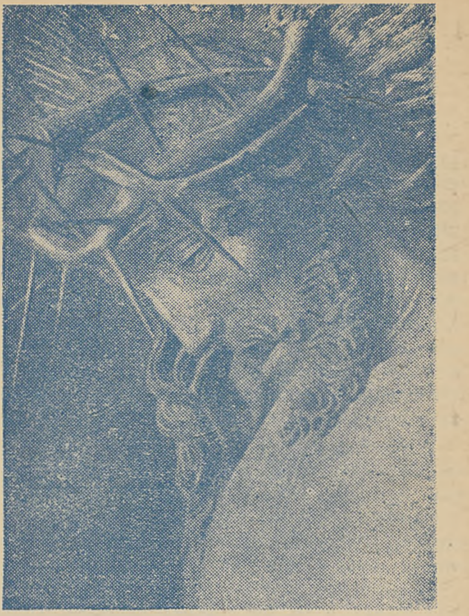
Św. Piotr Apostoł — Z ołtarza Wita Stwosza

Wit Stwosz w świetle najnowszych badań autorów naukowej rozprawy profesorów: Tadeusza Dobrowolskiego i Józefa Edwarda Dutkiewicza, został udostępniony szerokim masom czytelników. Rezultatem tych gruntownych badań jest wstęp poprzedzający część ilustracyjną albumu, z którego widzimy artystę, jak patronował rękodziełu krakowskiemu przez pięć lat jako cechmistrz.

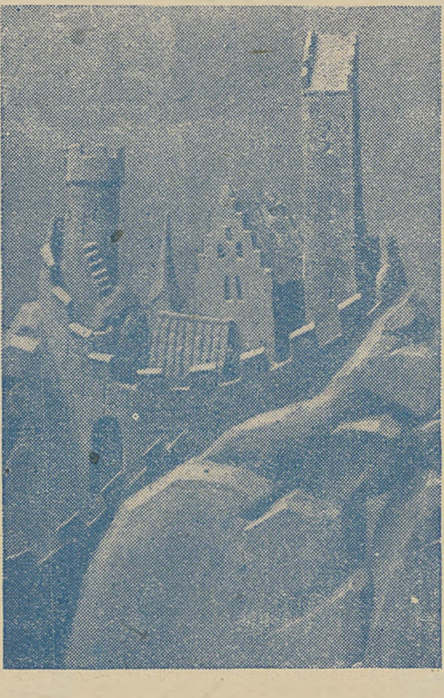
Ten starszy cechu z przed pięciuset laty w przeważnej mierze poświęcił swój wielki talent na ozdobę domów Bożych, a w szczególności mieszczańskiej świątyni Mariackiej w Krakowie. Jego sztuka wprawiająca w niemy zachwyt, choć sobie liczy prawie pięć wieków, nie przestaje czarować swym artystycznym urokiem. Spopularyzowano ją teraz w kilkunastu tysiącach egzemplarzy. Tym sposobem twórcze dzieło mistrza dłuta i pędzla, sławi go po tylu wiekach, zarówno gdy zdobi świątynie, jako też i przez księgę, ilustrującą jego artystyczne wysiłki.

W naukowej rozprawie nazwali autorzy twórcę ołtarza Mariackiego patriarchą rodu artystów, której dał początek. Wit Stwosz miał prawdopodobnie trzynaścioro dzieci, z których Stanisław był snycerzem w Krakowie, Florian złotnikiem w Zgorzelcu, Jan malarzem w Siedmiogrodzie. Marcin złotnikiem w kilku miastach. Brat artysty, Maciej, był złotnikiem w Harrowie, Siedmiogrodzie i Krakowie, teściem zaś syna Stanisława ,był krakowski malarz Marcin Czerny, mający w swoim dorobku artystycznym, tryptyk ,który namalował pod wpływem sztuki Stwosza dla kościoła parafialnego w Bodzentynie. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż artysta tej miary i o takiej indywidualności twórczej jak Stwosz, oddziaływał nie tylko na współczesnych mu artystów wielu technik, lecz wywierał wpływ przez wiele wieków na późniejszych plastyków. Łatwo się o tym można przekonać, przeglądając dzieła z dziedziny sztuk plastycznych. (Patrz Feliks Kopera „Dzieje malarstwa w Polsce" i inne tym podobne).

Ołtarz Mariacki szczytowe dzieło geniuszu Stwosza, któremu jak wiadomo przywrócono pierwotny wygląd, mimo, iż dobiega pięć wieków od czasu jego wykonania, a może właśnie dlatego odżył i zablysnął pełnią swej krasy. Minione wieki pokazały, jak wysokiej próby jest sztuka Wita Stwosza, któremu środowisko polskie umożliwiło wzniesienie się na wyżyny niedościgłego artyzmu. Jaki to cenny zabytek średniowiecznej kultury polskiej, dowiadujemy się z takiej krótkiej, a jakże znamiennej wypowiedzi autorów wstępu, którzy piszą:



Głowa Pana Jezusa Ukrzyżowanego w kościele Mariackim — dzieło Stwosza



Zamek na skale ze sceny: „Narodzenie" z ołtarza Mariackiego w Krakowie

„Ten wypukły obraz zagrał obecnie całą gamą swoich form i treści, ujawniając zarazem pełnię swej artystycznej urody".

Przywrócenie ołtarzowi Mariackiemu pierwotnej stwoszowskiej wielobarwnej świetności, ujawniło również artystyczną wartość polichromii tego dzieła, równej pod względem artystycznym rzeźbie mistrza.

Po ukończeniu ołtarza z końcem lipca 1489 r. napisano:

„A mistrz albo rzemieślnik tey roboty był mistrz Wit z Norymberga, dziwnie stateczny y pilny y życzliwy, którego rozum y robota po wszystkiem chrześcijaństwie z pochwałą słynie, którego tesz tu ta robota zaleca na wieki".

Istotnie, słynie i dziś odnowiony ołtarz przez Państwową Pracownie Konserwatorską na Wawelu pod kierownictwem profesora Mariana Słoneckiego, a zarazem rozsławia go nadal wytworny album, którego cena wynosi 300 zł. Książka o tym artyście daje najlepsze świadectwo o wspaniałości i wielkości arcydzieła Wita Stwosza, mającego prawie 200 płaskorzeźb i postaci. Dzieło to wydano z takim pietyzmem i w takich rozmiarach, iż przysłania ono wszystko co dotąd się ukazało o tym artyście tak w polskiej, jak i obcej literaturze. Arcydzieło ołtarz Mariacki krakowskiego cechmistrza raduje i zachwyca każdego oglądającego wydaną o nim księgą poważnych rozmiarów. Kłopot sprawia jedynie cena, która jest rzeczywiście niewysoka w stosunku do kunsztownego wydania dzieła, ale... ale jednak dosyć wysoka.

Powinny przyjść z pomocą biblioteki parafialne, zaopatrując swoje księgozbiory w to pierwszorzędne dzieło ,które jest chlubą dla tych co się nad jego wydaniem mozolili. Na pociechę dodam, że prawie równocześnie z wielkim, bogatym w ilustracje i barwne tablice, słowem, wytwornym pod każdym względem albumem o Wicie Stwoszu i jego ołtarzu krakowskim, ukazała się niewielka książka pod ty-

---

wolno było tam szczekać. Koty były wypuszczane z kuchni jedynie z alarmującymi dzwonkami u szyi, a nie karny pies Billy został zamknięty w swoim pomieszczeniu.

Axel Munthe lubił bardzo przyrodę. „Psy zarówno jak ludzie — powiada — muszą od czasu do czasu obcować z naturą, aby nabrać chęci do życia. Nic nie ma lepszego, nad wesoły spacer pod dobrze znanymi drzewami..."

Dr Axel Munthe żył według natury. Jego wielka miłość do ludzi i pracowitość nie bardzo często daje się spotkać. Nie można się godzić ze wszystkimi jego poglądami, które wypowiedział krótko przed śmiercią, ale trzeba przyznać, że był to ciekawy człowiek.

(W. M.)

CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ

Alleluja!



Radością wielką rozbrzmiewa dziś Kościół święty i całe chrześcijaństwo. Potężne Alleluja bije pod stropy świątyń katolickich, bo:

„Wesoły nam dziś dzień nastał,
Którego z nas każdy żądał.
Tego dnia. Chrystus Zmartwychwstał! Alleluja! Alleluja!

Po dniach smutku, cierpień i żałoby nastała znów radosna chwila — chwila Zmartwychwstania Pańskiego. Rozkołysane dzwony wielkanocne wołają: „ALLELUJA! RESURREXIT! CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ!"

Powodem tej wielkiej radości jest triumf Jezusa Chrystusa.

Po ciężkiej Męce i haniebnej śmierci na krzyżu, po trzech dniach leżenia w grobie, wstaje Chrystus z martwych Swoją Boską mocą i chwałą. Z całą potęgą objawia zwycięstwo nad śmiercią i mocą piekielną i uwieńcza Swe dzieło odkupienia rodzaju ludzkiego.

Zwycięża śmierć, piekło i szatana. Wstaje z opieczętowanego grobu i przywalonego ciężkim kamieniem, a także strzeżonego przez rzymskich żołnierzy.

Złość ludzka przybiła Chrystusa do krzyża. Przewrotni faryzeusze byli przekonani, że z chwilą śmierci Jezusa na krzyżu i złożenia Ciała Jego w grobie Józefa z Arymatei, pogrzebią Jego Boską naukę, Jego wpływ i Jego „Królestwo", którego nie rozumieli a jednak bali się, jak ongiś Herod, który był pewny, że w krwi niewinnych dziatek betlejemskich utopi blask korony nowego Króla.

Oprawcy boją się Go i po śmierci. Grób Chrystusa pieczętują i strażą obsadzają, mówiąc do żołnierzy: „Czuwajcie! Bo kto wie! A może...?"

Na nic jednak to wszystko! W blaskach wschodzącego słońca zstępuje z nieba śliczny Anioł Boży. Rozpędza resztki ciszy nocnej, staje przed grobem, zrywa pieczęcie, a kamień odwala z taką siłą, że ziemia drży w posadach. Równocześnie ogromna jasność niebiańska przesycona wonią balsamu zalewa grób Zbawiciela.

I oto Chrystus Zmartwychwstaje, aby zadać kłam ludzkim złościom. Dokonuje największego cudu i wielkiego zwycięstwa, jakiego już nigdy nie będzie. Daje ostateczny dowód Swego Bóstwa, na którym opiera się cała nasza wiara.

Cud Zmartwychwstania Chrystusa Pana, to główny dowód prawdziwości religii naszej, to opoka, na której buduje się wiara nasza. Bo „jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, próżne jest przepowiadanie nasze (głoszenie Ewangelii) i próżna (bezpodstawna) jest wiara nasza" — mówi św. Paweł, Apostoł Narodów.

Dlatego radość ze Zmartwychwstania naszego Zbawiciela dla nas katolików jest wielka. Radość ta podtrzymuje naszą wiarę, nadzieję i miłość ku Chrystusowi Zmartwychwstałemu.

Chcąc jednak dobrze zrozumieć cud Zmartwychwstania, musimy sami zmartwychwstać na duszy, zwyciężając grzech i pychę naszą, a za to czystym sercem, obmytym w Sakramencie Pokuty witać Chrystusa Zwycięzcę w ten radosny dzień Wielkanocny.

Posilając się zaś często Barankiem Wielkanocnym, bądźmy pewni, że i my kiedyś przy końcu świata zmartwychwstaniemy, a grób, do którego nas kiedyś położą, będzie dla nas kolebką żywota wiecznego, gdyż połączymy się w niebie ze Zmartwychwstałym Chrystusem, aby śpiewać Mu radosne i nieustanne „Alleluja!"

Marian Jamrozik



Przygotowanie kąpieli; szczegół z obrazu: „Narodziny Maryi" — dzieło Wita Stwosza z oltarza Mariackiego

tułem „Wit Stwosz w Polsce", którą opracował znawca Stwosza profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Adam Bochniak.

W świetle tych dwu publikacji i dwu ocen tego artysty-rzemieślnika, lepiej poznaliśmy Stwosza i jego wkład w kulturę polską. Dłutem wyrzeźbiona i pędzlem utrwalona sława rozbrzmiewa nadal, tak dzięki odnowieniu ołtarza Mariackiego, jak i pierwszorzędnym wydawnictwom książkowym.

Marian Padechowicz

NAWRÓCENIE PAWŁA

Wszystko przemawiało za tym, że Paweł Lesisty, to z dziada pradziada rdzenny chłop, mimo to, do żadnego z chłopów we wsi nie był podobny. Bo i wielki jak topola i w tych barach rozłożysty niczym stodoła. A tymi oczami szarymi patrzał raz jak to cielę, co im szerzej otworzy, to mniej widzi a raz znowu przewiercał człowieka aż do kiszek, jakby w nich czytał, co kto dzisiaj jadł.

Niczym innym, tylko tymi oczyma urzekł on przed 8 laty Zośkę Gołębiankę. Dziewczyna to była urodna, na całą wieś, i nie „najbidniejsza". A tu nic i nikogo widzieć nie chciała, no za Pawłem ciągle oczyma powłóczyła.

Paweł ani się z tego radował ani smucił; kto go tam zresztą przejrzał, dość, że nikomu po sobie nic nie pokazał. „Chytra sztuka". Ale z Zośką się ożenił. I co się pokazało? Oto, że Zośka żadnego losu z Pawłem nie wygrała. Nie dość, że gruba nigdy nie była to teraz zrobiła się jak ten cień, ino te oczy czarne rozwlekły się jej po całej gębie.

Razem z dziećmi, których mieli troje, Zośka bała się Pawła. Bo też i z tymi dziećmi Paweł postępował nie tak, jak każdy ojciec. Jak małe, to obnosił na swoich wielkich łapach po ogrodzie, jak to kurczę i głupiutkim jeszcze oczom pokazywał świat: to niebo, to drzewa, to ptaszki, a kiedy to samo dziecko podrosło i po tym świecie zaczęło z upodobaniem biegać, to Paweł, co chwila wołał je do swojej nogi i swoimi pięcioma palcami spiekał po tyłku tak, że dziecko o mało się pod ziemię nie chowało. A jeszcze zadrzeć się głośno nie wolno mu było. Ino Zośka musiała je w swoich zapaskach tulić, bolącą część ciała głaskać, serduszko koić i ciszyć i pokryjomu sobie i dziecku łzy obcierać.

— Ej, Zośka, Zośka, — szeptano we wsi — samaś sobie szczęście podeptała.

Bo Zośka wciąż się jeszcze wszystkim podobała. A Zośka uśmiechała się do wszystkich i nic nikomu ze swej doli nie pokazywała. To się jednak ukryć nie dało. Nieraz widziano, jak się jej w kościele oczy łzami zaszkliły. Tylko ten Paweł grubianin nigdy biedy Zośczynej nie dojrzał. Ciągle zaharowany i ku ziemi schylony, nie widział, jak słońce na jego niebie przygasało. Konie zaprzęgał, wyprzęgał, orał, bronował, odwoził, przywoził, dźwigał, pot

z twarzy obcierał i rzadko kiedy miał czas spojrzeć na Zośkę a uśmiechał się tylko od wielkiego święta. Za Pawłem wiecznie utrudzonym szedł dzień za dniem, noc za nocą, rok za rokiem. Zośka pomagała mu zawzięcie, ale częściej niż on musiała usiąść, to dziecko nakarmić, to zaśpiewać mu nad kołyską, a wtedy odzywała się w niej tęsknota do radości, do ludzi, do świata, do miłego słowa do przytulenia się serdecznego do kochającej piersi.

Aliści raz nie mogła już wytrzymać, by nie wspomnieć Pawłowi, żeby poszli na wesele Maryny Gawłowej. Tak przecież prosiła ich i ona jej na pewno obiecała.

— Wesela ci się zachciewa — burknął Paweł — a tu robota się zatrzyma i w domu nie ma kogo przy dzieciach zostawić.

— Mama mówili, że przyjdą na cały dzień, to świnie oprzątną, dzieci dopilnują i bydło na pastwisko wygonią.

Paweł markocił się, ale wreszcie po długim namyśle przystał. Wieczorem ogolił się i rozruszał i nawet dając obrok koniom coś cicho podśpiewywał. I Zośkę też ogarnęła dziwna ochota, bo też już tak dawno nie bawiła się, i nie tańcowała. Rozmarzyła się nawet jak przed swoim weselem.

Wesele było siarczyste, ludzi pełno a jedzenia jeszcze więcej. Nie na darmo „przechwalał się" Gaweł, że na weselu jego Maryny wszyscy się ucieszą. Żeby było huczniej i głośniej, zawołał dwie muzyki do kupy, tak, że było dwoje skrzypiec, dwoje basów, dwa klarnety. Toteż jak „urżnęła" jaki skoczny kawałek to ni stary ni młody nie mógł w miejscu ustać. Każdego niosło do tańca. Przytupywanie obcasami i hukanie przygłuszały muzykę. Na szczęście wrześniowa pogoda dopisała i tanecznicy mogli się dla większej swobody i miejsca wysypać na podwórze i zatoczyć dwa wielkie, współśrodkowe koła.

Tańczyła i Zośka. Przechodząc z rąk do rąk, tańczyła lekko jak wiewiórka i tak zawzięcie, aż się jej blade policzki zarumieniły i uśmiech wesela raz po raz na wargach zakwitał.

Ciągnęło i Pawła, ale jako człowiek stateczny, jak we wszystkim, tak i w tańcu poczynał sobie z rozwagą, powoli. Stojąc za grupą starych kobiet, co przyklaskując rękami wodziły oczyma za korowodem tanecznym, upatrywał Paweł, którąby z młodych kobiet porwać do tańca. Kiedy miał już zrobić krok ku wybranej, do uszu jego wpadły słowa, które go jak rozpędzonego konia w miejscu osadziły.

— Widzicie, spójrzcie na Zośkę — wskazała stara baba oczyma w stronę tańczącej żony Pawła, — jak się to ta biedaczka przy Pawle wypasła; przez igłę by ją przewlókł. A jak to chudobnie ubrana, jak ta dziadówka, co zagona przy chałupie nie ma.

— Jużci, że prawda — przygadywały drugie, goniąc oczyma za Zośką. — nijak się ten Paweł o nią nie stara, a taka za dziewczyny była jak lalka.

— E! moiściewy, chłop a chłop, wy wiecie, jaki umie być jeden a jaki drugi. Ale ktoby się po Pawle tego spodziewał, taką kobitę jak ulaną i tak zmarnować.

Tak „sprany po pysku" odszedł Paweł cicho na drugą stronę. Obrał sobie punkt obserwacyjny za stołem muzykantów i patrzył za Zośką. Istotnie, była ze wszystkich kobiet najgorzej ubrana, w wypłowiałe łachy, które jeszcze ze sobą od matki przyniosła.

— Świnia — pomyślał Paweł — jak ona mogła się tak na oczy ludzkie pokazać.

Pawła ogarnął wstyd i jątrzyła złość na Zośkę. Jednak lepszych chust nie mógł dla niej w skrzyni znaleźć. Właściwie, co on jej kupił? No tak, wszystko, co on jej sprawił, to koło chałupy darła. Wściekłość go ogarnęła na siebie i na nią. Po co on tu przychodził z taką babą niedorajdą. Skąd on może wiedzieć co jej do ubrania potrzeba, odpychał wyrzuty sumienia. Zdawało się, że teraz wszyscy na Zośkę patrzą i jego Pawła wyśmiewają. Żeby się mógł w tej chwili razem z nią pod ziemię zapaść, toby się chwili nie wahał.

Skorzystawszy z pierwszego przestanku, podszedł do Zośki, uśmiechnął się mile, jako, że była między drugimi i odezwał się grzecznie:

— Może byśmy Zosiu, zajrzeli na chwilę do domu, bo matka przysyłali, że dziecko bez przerwy się drze i uspokoić się nie da.

Zośce niespokojnie zabiło serce, bo na oczach Pawła był znany jej cień, za którym kryło się „niedobre". Poszli.

— Świnia! — powtórzył jej na drodze głośno. — Drze się na wesele a po ludzku ubrać się nie umie.

— Ubrałam się, w co miałam najlepszego — odrzekła pokornie.

— Kto do niczego, to do niczego. Inne też złota na sobie nie miały a przecież nie wyglądały jak ten wiecheć z pomyj wyjęty.

Zośka poczuła najwyraźniejszy ścisk serca, co posuwał się aż do gardła, i skuł całe piersi dojmującym bólem.

„Wiecheć" — pomyślała okropnie upokorzona.

Umysł jej ogłuszony tym brutalnym razem Pawła nie był w stanie zastanawiać się i wyciągać wniosków i kiedy w tej nieprzytomności pozostał obojętny, serce odczuwało żywo niezasłużoną krzywdę.

On z chmurą oburzenia na czole, ona z kamieniem krzywdy na plecach wracali z wesela do chałupy i roboty, jak Adam i Ewa z raju na ziemię.

— Nie umiesz się jak ludzie bawić, to chybaj do roboty! — rzucił na nią jeszcze w progu domu i zawrócił na podwórze.

Zośka poczuła się bez litości odtrącona. Weszła do izby i obejmując rękami biegnącą ku niej gromadkę dzieci rozpłakała się jak matka, która wróciwszy z pogrzebu męża, widzi, że oprócz niej nikogo tu już przy nich nie ma.

— Jużeś się naweseliła... — sarknęła matka, domyślając się wszystkiego.

— Cicho, mama, cicho, dajcie spokój, to i tak się na nic nie zda.

— Pójdę lepiej do domu bo ja bym tego dłużej nie wytrzymała. Oj, zaprzepaściłaś się niebogo, zaprzepaściła — biadała matka, biorąc za klamkę.

Paweł przez trzy dni młócił i do Zośki nie przemówił słowa. Dopiero trzeciego dnia wieczór kazał się jej przysposobić na jutro do miasta. Zośka zrobiła, jak rozkazał. Rano poprosiła znowu matkę do dzieci i ubrana czekała niespokojnie na dalsze rozkazy Pawła.

Paweł tymczasem znosił na wóz wymłócone zboże. Gdy zaprzągnął konia, kazał jej siadać. Siadła na przednim siedzeniu przy Pawle jak zawsze, choć się jej ta bliskość nie uśmiechała. Wszystko dla oka ludzkiego i ze strachu przed Pawłem.

— Co będziesz kupował? — zagadnęła go za wsią, bo nie miała sumienia, żeby siedzieć jak niemowa i żeby choć słowem nie przyczynić się do zgody.

— Jeszcze pieniędzy nie mam, żeby mówić o kupnie — burknął.

Tak pogadując, jednym słowem na jeden kilometr, dojechali do miasta.

Obojętność i szorstkość Pawła tak Zośkę zgnębiła, że czuła się chorą. Apatycznie patrzała na miasto ,do którego zawsze z ciekawością dziecka przyjeżdżała. Apatycznie słuchała, jak Paweł sprzedawał żyto, nie wiedziała nawet dobrze, ile za nie otrzymał, i apatycznie szła za nim do jakiegoś sklepu.

— Gdzieś ty wlazł? — zawołała jakby ze snu zbudzona, gdy ujrzała wokół siebie kwiaciaste, babskie materie.

— Tu gdzie trza. Niech no mi pan pokaż (zwrócił się do kupca) materii dla moi kobity na ubranie do kościoła. Ino żeby była ładna, mocna a niedroga.

Zośka stanęła jak słup i zamiast upatrywać za tym, co ładniejsze, wlepiła badawczy wzrok w Pawła. Jasnym się jej stało, że to wszystko, co od kilku dni robił, to było takie obce i do niego nie podobne, że kto wie, czy on to ze zdrowym rozumem zrobił.

Paweł snadź zrozumiał myśli Zośki; żal mu się zrobiło tej naprawdę ładnej i tak zahukanej kobieciny. Zaraz ją też otrzeźwił.

— Zośka, nie trać czasu, mnie już widziałaś a patrz tu, pokazał na ladę, bo wiesz, że ci się na ubranie już dawno patrzy.

Dopiero Zośka odetchnęła i odzyskała ochotę do strojów. Uśmiechnęła się radośnie do płonącego pstrymi barwami stosu materiałów. Za poradą kupca dobierała kolory i gatuneki a Paweł płacił. Nie żałował, bo co którą materię podniosła Zośka do swej białej twarzy i czarnych dużych oczu i spojrzała w lustro, to Paweł widział, że ani jedna baba, ani dziewka nie dorówna Zośce. Czekajcie, myślał o plotkujących babach na weselu (a z pewnością wszyscy to samo mówili), ja wam pokażę Pawła. Wy jej teraz wszystkie pozazdrościcie.

Zośka niosła do wozu ciężki koszyk, pełen śliczności na ubranie do kościoła i koło domu, i buty i nawet nitkę tych najmodniejszych korali, co je bursztynami nazywają. Siedząc z tym skarbem na wozie, czekała na Pawła, co poszedł jeszcze po bułki dla dzieci, i płakała. Tymczasem radość rozpierała jej piersi tak szeroko, że Zośka musiała ręce na boki odrzucić. A tu radość szła jeszcze większa, bo kiedy Paweł wrócił i konia do drogi przygotował, usiadł przy Zośce, objął ją z tyłu ręką, poprawił jak dziecko na siedzeniu i zapytał:

— Dobrze, ci Zosiu, siedzieć?

— Dobrze, Pawełku, dobrze — odpowiedziała nieśmiało przez łzy.

— Głupia ty nie myśl, że ja smok — ale i nie święty, żebym wszystko miał wiedzieć i widzieć. Zamiast się boczyć ciągiem po kątach i ode mnie odwracać, czemu nie przyjdziesz, nie przygadasz się o to, co potrzeba, tobie i dzieciom. Przecie dla siebie samego nie harowałbym tyle.

Zośka przytuliła się do niego z ufnością jak w pierwszych dniach po ślubie i z rozrzewnieniem patrzyła jak przed wozem na którym wracali do domu, biegło niby latarka odzyskane szczęście.

Rokita

ŚWIĘTY ROBERT

Benedyktyn, założyciel opactwa „La Chaise Dieu" (zmarły 1067 r.)
(obchodzimy 17 kwietnia)

Było to jak gdyby przedziwną przepowiednią na całe życie, że Święty Robert, który miał najpiękniejsze swoje lata spędzić na pustkowiu, ujrzał światło dzienne w głębi puszczy, w czasie podróży swojej matki.

Gdy matka poraz pierwszy ukazała nowonarodzonego ojcu — ten uściskał go gorąco i ucieszony głęboko z narodzin syna włożył do jego niemowlęcych rączek szpadę, na znak czekającego go rycerskiego zawodu. I tu znów zdarzył się zastanawiający wypadek drobna dziecinna rączyna odrzuciła błyszczącą rękojeść. Śmiercionośna szpada upadła i rozbiła się na drobne części. Była to przepowiednia życia poświęconego głębokiemu umiłowaniu pokoju.



Pierwsze nauki pobierał w opactwie świętego Juliana. Tam zaszczepiono w dziecinnym serduszku uczucie szczerej pobożności. W sercu Roberta coraz większym płomieniem rozpala się miłość do Chrystusa Eucharystycznego, czego wyrazem były noce poświęcone gorącej modlitwie. Po Bogu najwięcej miłował ubogich.

Umiłowanie nieszczęśliwych pchnęło go do bezzwłocznego wzniesienia szpitala w pobliskim miasteczku Brioude.

Pobożność i miłosierdzie tak było uderzającą cechą jego charakteru, że dla wszystkich było rzeczą jasną, iż jego przeznaczeniem był stan duchowny. Istotnie w krótkim bardzo czasie został wyświęcony na kapłana. Zasłynął cnotami i płomienną wymową.

Ale dusza jego coraz bardziej pragnęła oderwać się od świata i w ciszy klasztornej pogrążyć się w rozmyślaniach i kornej modlitwie. Zapragnął spędzić życie w benedyktyńskim opactwie — Cluny.

Miasteczko Brioude nie mogło się pogodzić z jego zniknięciem i z tryumfem z powrotem go sprowadzono.

Niedoszły mnich ciężko odchorował niespełnione marzenia, a następnie szukał ukojenia w pielgrzymce do grobu Św. Piotra i Pawła w Rzymie.

Opatrzność znów przyszła mu z pomocą. Pewnego dnia żołnierz-konwertyta, imieniem Stefan, zgłosił się do niego, prosząc o wskazówki dla poświęcenia się służbie Bożej.

Obydwaj postanowili poświecić się się służbie Bożej. Stefan wkrótce powiadomił swego mistrza, że na pustkowiu odkrył ruiny kościoła — takie były początki opactwa „La Chaise-Dieu"[1]. Wznosiło się ono pośród lasów, w sercu krainy nawpół pogańskiej. Ale Robert nie dał się zastraszyć przeciwnościom. Świątobliwość założycieli przyciągała coraz to nowych towarzyszy. Postanowiono wznieść prawdziwy klasztor, któryby pomieścił nowych adeptów. Wzniesiono go własnymi rękami. Ojciec Święty Leon IX usankcjonował powstanie nowego opactwa, którego przeorem został oczywiście Robert.

Nowemu zgromadzeniu brakło reguły zakonnej. Robert w kornej modlitwie błagał Boga, aby mu objawił, jakie formy organizacyjne będą najwłaściwsze.

Niespodziewanie przed Robertem zjawił się młodzieniec o przedziwnie pociągającym obliczu i wręczył mu księgę. Gdy ten ją otworzył — ujrzał regułę Św. Benedykta. W tym momencie nieznajomy w sposób niezrozumiały zniknął z przed jego oczu. Robert zrozumiał, że miał przed sobą wysłannika Niebios.

Robert i jego towarzysze bez wahania przyjęli regułę benedyktyńską. Wkrótce też byli świadkami wspaniałego rozkwitu klasztoru, który osiągnął imponującą cyfrę 300 zakonników.

Nie poprzestano jednak na domu macierzystym. Zakładano coraz to nowe domy zakonne, przeważnie przy kościołach zburzonych przez czas lub wojnę.

Błogosławieństwo Boże było nad Robertem i przedziwnymi znakami podkreślało jego posłannictwo. Pewnego razu, gdy odprawiał nabożeństwo w górskim kościołku i miejscowy kapłan zwierzył mu się z głębokiej troski, iż nie wie, czym mógł by go ugościć ten mu odpowiedział: „Nie martw się Bóg nas nie opuści". Istotnie w kilka minut później ukazał się orzeł, który rzucił u ich stóp rybę wielkich rozmiarów.

Zbliżył się koniec ziemskich dni Roberta. Bóg objawił mu, że umrze w trzy dni po Wielkiej Nocy. Robert kazał się zanieść przed figurę Matki Najświętszej i Dzieciątka. Modlił się żarliwie, uściskał gorąco wszystkich braci zakonnych, udzielił im ostatnich rad i przyrzekł czuwać nad swym dziełem z tamtego świata. Zmarł 17 kwietnia 1067 roku. **J. L.**

[1] „Dom Boży".

Drobiazgi wychowawcze

NAJMNIEJSZY KAWAŁEK

Powinieneś brać z talerza zawsze najmniejszy kawałek — rzekła mama do synka. — Dlaczego mam to czynić? odrzekł chłopiec. Co byście na to odpowiedzieli? Żeby zostało więcej dla innych. Tak, ale właśnie o to chodzi, że synkowi nie trafia to do przekonania. Ponieważ jemu samemu to bardzo smakuje, dlaczego ma oddać innym?

„Kto pierwszy, ten lepszy", — mówi przysłowie. Możnaby mu może odpowiedzieć: Obdarzanie sprawia większą radość naszemu sercu, niźli odbieranie darów. Ale do tego już trzeba duszy dojrzalszej. On sobie myśli: Moje największe nieszczęście jest właśnie wtedy, kiedy inni otrzymują największy kawałek do jedzenia. Jakże go więc przekonać, żeby wziął najmniejszy?

Ja to bym tak mu powiedział: Istotnie największy kawałek do jedzenia jest najlepszy; szczęśliwy, komu się dostanie. Ale przyjemność prędko mija. A człowiekowi, który łakomi się na duże kawały i następnie chciwie połyka swoją zdobycz, twarz podobna się robi do małpiej lub do pyska zwierzęcia drapieżnego. Jakby duże kawały posiadały moc złego uroku, który zaklina człoka w zwierzę, gdy się na nie często łakomi, stopniowo, stopniowo im więcej miewa wszędzie na oku duże kawały. Małe kawałki mienią w sobie inny urok: Kto sięga, przez prawdziwą skromność, nie dlatego tylko, żeby wydawać się skromnym, tego oczy i kąty ust nabierają wyrazu, który budzi do niego zaufanie, gdziekolwiek się pokaże.

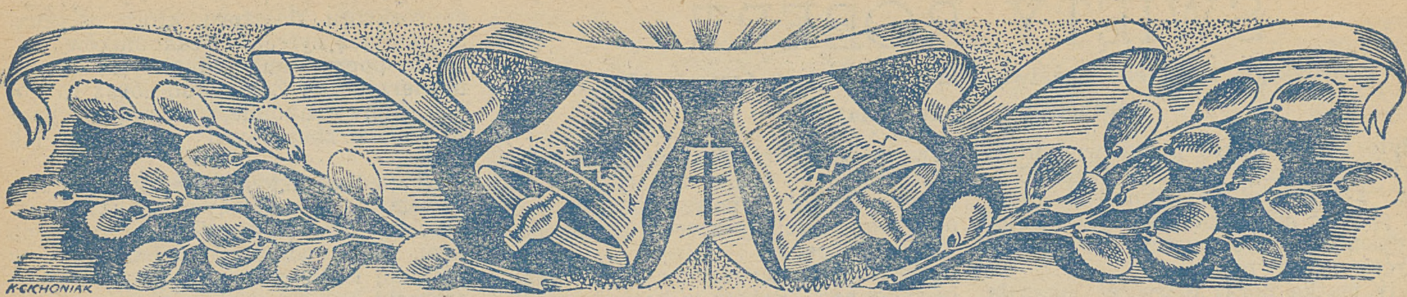
Obserwujcie tylko skromnego człowieka, a przekonacie się, że ma słuszność. Jest to tajemnica, o której niewielu wie; ale kto to zrozumiał, nie sięga już po duże kawały do jedzenia. On wie, że tylko pozornie traci, w rzeczywistości zaś nabiera siły tajemniczej i zostaje obdarzony miłym obliczem ludzkim, nie zaś zwierzęcym.

NIEUCZYNNY I CHCIWY

Nieraz dzieci, gdy im się powie: Bądźcie uczynne i dobre, myślą, że idzie tu o takie rzeczy: Dajcie jabłko Markowi i pijcie mniej czekolady, żeby zostało więcej dla Paulinki. A tego właśnie nie chcą zrobić. Miłość i dobroć — myślą sobie takie dzieci — jest to coś takiego, na czym ponosimy stratę na czyjąś korzyść. Czy to prawda? Istotnie ponosimy stratę. Ale tylko pod jednym względem. Z drugiej strony staliśmy się tysiąc razy bogatszymi. Wprawdzie nie wzbogaciliśmy się w rzeczy do jedzenia i tym podobnie, ale to przecież za chwilę i tak się traci. Gdy zniknę w żołądku, podniebienie o nich zapomni, ale wzrośnie nasza siła do obdarzania tym właśnie, co jest nam najdroższe; a ta siła jest największym i najrzadszym darem w posiadaniu człowieka, bo człowiek z natury swej trzyma mocno w garści, co mu sprawia przyjemność, i jest niewolnikiem wszystkiego, co posiada.

Im więcej człowiek rozdaje, tym większym i silniejszym staje się jego serce. Gdy się wyda co ze swych pieniędzy, będzie ich mniej, gdy zapalimy drugą świece, to światło pierwszej będzie takim samym, choćby zapalili tysiące świec, gdy obdarzamy miłością, miłość staje się tym większą im więcej obdarzamy. Tak więc obdarzenie stanowi także dar dla tego, kto obdarza i nie napróżno powiada Pismo św. „Błogosławieni są czyniący miłosierdzie". Kto tego nie próbował, nic o tym naturalnie nie wie.

Wydawca: Włocławska Kuria Diecezjalna
Redaktor: Ks. Stanisław Piotrowski
Redakcja i Administracja: Włocławek, ul. Waryńskiego 4. Tel. 16-49.
Zamówienia na prenumeratę i kolportaż parafialny przyjmuje P. P. K. „Ruch" Bydgoszcz, ul. Armii Czerwonej 6. Konto PKO. VI-231/110.
Prenumerata z przesyłką pocztową kwartalnie zł 6.—, półroczna zł 12.—, roczna — zł 24.—
BZG. Zakład nr 17, Włocławek, Waryńskiego 4. Papier druk. sat. 60 gr. kl. VII, format 61x86
Nr zam. 465—12.3.52—E-3-15447 — 25.000
Druk ukończono 8.4.52.



WIELKANOCNY DZWON

Kiedy świt wiosennego ranka, zaglądnie w twoje okno, kiedy słoneczko zaśmieje się do ciebie, wszystkimi swymi promieniami, kiedy wszystko dokoła cieszy się wiosną, przypomnisz, że tak nie dawno budziłeś się z myślą. dziś idę do pierwszej Komunii świętej. Przypomnisz sobie ważny dzień w swoim życiu, granatowe ubranko z białą wstążką, twarze rodziców modlących sie w skupieniu, moc dziewczynek w wiankach na głowach i księdza staruszka co drżącą ręką do ust ci podawał Przenajświętszy Sakrament. To był dzień pamiętny i niezapomniany.

Myśli posuwają się dalej, widzisz siebie przed ołtarzem umajonym zielenią trzymającego dziewicę za rękę związaną stułą i słyszysz słowa „ślubuje ci wiarę, miłość i uczciwość małżeńską". Potem przypominasz płacz syna swego, którego rodzice chrzestni zanieśli do kościoła by przyjął chrzest św..

Czas minął. Ojca twego obielona szronem głowa spoczęła na śmiertelnej pościeli, przypomnisz sobie, że przed ołtarzem umajonym zielenią gdzie było Ciało i Krew Pana — kłamałeś! — Kłamałeś, że będziesz wiernym mężem, że będziesz ją miłował.

Odszedłeś od niej, niczym wówczas był dla ciebie syn twój, co znaczy żona wobec gorącej miłości innej kobiety.

Dni mijały szybko. W tańcach, wódce szukałeś zapomnienia. Starałeś zagłuszyć sumienie, ale nic nie pomogło.

Aż nagle wstrząs.

Oto dzwony oznajmiły radosne Alleluja.

Przypomniałeś sobie że tak nie dawno, szedłeś z ojcem na Rezurekcję.

Ojca nie ma, sam jesteś ojcem, a wtedy nasuwa się myśl, a gdzie mój syn?

Dlaczego on nie może być szczęśliwy takim jakim ja byłem. Odszedłem od niego, nie byłem w kościele jak był u pierwszej Komunii świętej, nie poszedłem z nim na Rezurekcję.

Dzwony dzwonią... Nagła myśl przyszła, ja pójdę z synem swoim do kościoła.

Już nie wspomnienia, lecz radosna rzeczywistość, idę przed dom gdzie mieszka żona z synem i stukam do drzwi. Otwórzcie!

Przyszedłem do was na zawsze. Żona zarzuca ręce na szyję. I cicho szepczą jej usta — mężu, wiedziałam że wrócisz. Synek kurczowo przyciska rękę moją do swego serduszka.

Przez okna wciskają się promienie wschodzącego słonka, w powietrzu rozlega się głos dzwonu, radujcie się wszyscy „bo Zmartwychwstał Bóg prawdziwy, Alleluja"! **Leonarda Puchalska**

U NAS BĘDZIE LEPIEJ

humoreska wielkanocna

Siedzieli na ławce w parku, prowokując wiosnę, która jeszcze trzęsła się z zimna, otulając się w skąpą zieloność. On trzymał ją za rękę i mówił:

— Ach, jak u nas będzie pięknie! Skromnie, ale ładnie. Gustownie, że powiem. Firaneczki w oknach zawsze czyściutkie, mebelki proste, ale trwałe i w dobrym gatunku, bo ja tandety nie lubię. Dużo kwiatów, uważasz, parę obrazków, ale nie jakieś oleodruki, tylko ręczna robota!

Halinka słuchała z przejęciem.

— To będzie bardzo pięknie — powiedziała.

— No, ja myślę! U mnie w domu... to jest, u nas, musi być wszystko, jak należy.

— Najdroższy — szepnęło dziewczę, jak wietrzyk wiosenny — nie zapomnij przyjść w pierwszy dzień świąt do nas... Mamusia przygotuje tyle dobrych rzeczy...

— Zobaczy się — mruknął pan Hipolit lekceważąco. — Ale myślę, że gdy ty będziesz już na swojem, to święcone będzie dużo lepsze, niż u twojej szanownej mamusi.

Upłynęły trzy dni i nadszedł oczekiwany dzień. Punktualnie o jedenastej zjawił się pan Hipolit w mieszkaniu narzeczonej.

— O, jak to pan Hipek elegancko się ubrał! — zawołała przyszła (z kuchni) teściowa.

— Ja myślę — odparł pan Hipolit i lekko wzruszył ramionami. — U mnie wszystko musi być w dobrym gatunku. Jak ubranie, to ze stuprocentowej wełny, jak kamasz to conajmniej za 500 złotych... Taki już jestem i żadna siła mnie nie zmieni na drobne!

— Trzeba przyznać, że pan Hipek przyszedł trochę za wcześnie... — powiedział pan domu z lekką naganą w głosie. — Jeszcze stół nie nakryty.

— No to co? Mogę pomóc! Nikt tak nie potrafi nakryć stołu, jak ja. Bo ja mam gust.

— No, to niech pan Hipek pomaga — podchwyciła z zadowoleniem mama.

Najpierw narzeczony wziął baranka z cukru.

— To jest baranek wielkanocny? — powiedział z ironią. — Tandeta! Gdyby było trochę cieplej w pokoju, toby się ze szczętem roztopił!

Matka Halinki spojrzała na pana Hipolita zezem, ojciec nic nie rzekł, tylko zgrzytnął uzębieniem.

— Szynka też nie nadzwyczajna — krytykował Hipolit. — Kiepsko saletrowana i wogóle nieapetyczna... U nas będzie lepsza na święta, prawda, Halinko? Halinka uśmiechnęła się niepewnie, mama zacisnęła zęby, a ojciec mruknął dość głośno: „kretyn".

— Sztufadka? — ciągnął dalej Hipolit. — Owszem, wygląda przyzwoicie, ale coś mi się zdaje, że trochę od niej zalatuje... No, może złudzenie. W każdym razie u nas sztufadka będzie ładniej pachniała!

Mama postawiła na stole talerz z pisankami tak gwałtownie, aż talerz pękł na dwoje. Tata zapalił drżącą ręką papierosa. A Hipolit łaził dokoła stołu i ganił:

— Serwetki cerowane... Fatalnie! Nie lubię tandety! Pomyśleć tylko: obcierasz usta — a tu bęc: palce przechodzą ci przez serwetkę i właściwie obcierasz usta palcami, jak dzwoniec z samego środka wsi! U nas będzie całkiem inaczej!

Nagle pan domu poczerwieniał, jak jabłko jesienią i ryknął strasznym głosem:

— Precz stąd! Wynoś się z mojego domu! Mam dość tej krytyki.

Pan Hipolit uśmiechnął się ironicznie.

— To się nazywa wyrzucenie z domu? Ha, jak ja będę kogoś wyrzucał z mojego domu, to złapię gościa za kołnierz, nogą w krzyż i ze schodów! Tandety nie lubię! U nas będzie lepiej...

To rzekłszy, skłonił się i wyszedł.

ORYGINALNY LIST

Imć pan Woyna, zaproszony przez króla Stanisława Augusta na jeden z „obiadów czwartkowych", tak pisał do Ignacego Potockiego, jednego z twórców Komisji Edukacyjnej:

„Ja mam dziś jeść tam, gdzie król. To cześć dla sług, gdy im pan da stół, lecz jak mam zajść tam, gdy mi się stał traf: koń mój zdechł, a tych, co są, pod szór, nie mam dość.

Mam że wziąć kij i pójść? — nie. Ty masz cug, czy dwa, kto wie czy nie trzy, racz mnie wziąć w Twój wóz.

Już wiesz co chcę, lecz czy wiesz, ktom jest? Ja się zwę jak to złe, co na świat śle strach, śmierć i głód. Gdziem ja jest, tam są łzy, wrzask i płacz. Jam nie krzyw, żem tak zwan, ja bym się mógł zwać Mir bo nie chcę zwad i mam wstręt do bitw.

Bądź zdrów, a mnie licz w poczt tych, co cię czczą".

Jak widzimy, pan Woyna ułożył list z samych wyrazów jednogłoskowych! Żałował pewnie, że się podpisać nie mógł, jak jego kuzyn, hr. Mier.